

Wśród zagranicznych książek

Jacek Wojciechowski

Przeglądając ofertę publikacyjną, chciałoby się częściej trafić na wypowiedzi możliwie odkrywczе i zarazem napisane frapująco, jednak takie zespolenie przytrafia się rzadko. Interesującym opiniom przeszkadza już to myślowy bałagan lub/ oraz toporny sposób eksplikacji, albo znów sprawna narracja ukrywa (oraz odkrywa) intelektualne niedoróbki.

Żeby więc coś wybrać, kryteria nie mogą być jednolite. Jeśli zatem bodaj jakaś jedna cecha korzystnie wyróżnia tekst, to warto skupić na nim uwagę – udając, że niedostatków nie ma, lub że są mało ważne. No i tak też postępuję.

Uroki indeksacji [****]

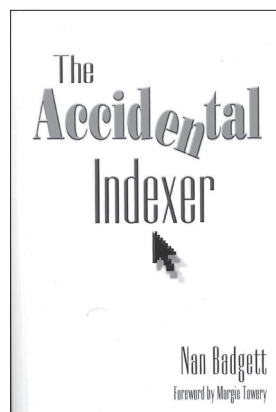
Nan Badgett (2015). *The accidental indexer*. Medford: Information Today Inc., pp. 221. ISBN 978-1-57387-514-1

Indeksowanie, w ujęciu najszerszym (tak w tej książce napisano), polega na penetrowaniu treści przekazów i tworzeniu rejestrów albo map, syntetycznych wyznaczników treściowych, umożliwiających pełne lub wybiórcze, ale nielinearne korzystanie. W tak ogólnym zakresie mieści się więc także tworzenie bibliografii oraz katalogowanie – z tą różnicą, że bibliografia stwierdza istnienie i rejestruje jakies *wszystko*, a katalog lokalizuje to, co jest w danym *miejscu*¹ – ale także indeksowanie w węższym sensie, czyli budowanie wykazów zawartości treściowej dla materiałów pojedynczych albo zgrupowanych razem.

I o takim właśnie, wąsko rozumianym indeksowaniu pisze amerykańska autorka, referując zasady postępowania, często zbieżne bądź wręcz tożsame z katalogowaniem i bibliografowaniem, oraz tworząc charakterystykę takiej specjalności lub wręcz zawodu – bo tak to w amerykańskich warunkach wygląda.

W polskich: niekoniecznie. Nie ma bowiem nawet odpowiedniej nazwy w żadnym rodzimym leksykonie, toteż umownie proponuję termin *indeksator(ka)*, w skojarzeniu z określeniem *inspiator(ka)*. Jest zatem jasne, że o takiej profesji mało kto słyszał i o samej indeksacji wie się niewiele albo jeszcze mniej. Ale ktoś to jednak robi, skoro indeksy istnieją, jakkolwiek wykonawstwo bywa często specjalnością równoległą, albo dodatkową, wobec zawodu prymarnego.

Natomiast ważność nie podlega dyskusji. Trudno dzisiaj zaakceptować monografie lub podręczniki, pozbawione indeksów (niestety są takie), niezależnie od spisów treści. Które też zresztą bywają często rozbudowane do dwóch albo nawet trzech poziomów sygnalizacji szczegółowej².



¹ J. Woźniak-Kasperek (2015). Bibliografia a katalog biblioteczny – dyskusja o pojęciach i terminach. *Przegląd Biblioteczny*, (4), 521–523.

² R. Shimura, S. Yamada, B. Umino, Sh. Toda, K. Kageura (2016). *The structural characteristic of the Japanese paperback book series* [online]. In: J. Sun; Q. Zhu, Ch. Khoo; S. Ou (eds.) *A-LIEP 2016. Proceedings of the 7th*

Autorka sygnalizowanej tu książki, Nan Badgett, uważa że to jest zawód pełnoprawny i wysoce wyspecjalizowany oraz: że to jest jej zawód. Bo też dokonania ma w tej profesji rzeczywiście znaczące i liczne.

Pisze więc o zawodowym indeksatorstwie nie tylko ze znanstwem, ale też z ogromnym zaangażowaniem oraz z sympatią. To fajnie, kiedy ktoś lubi to, co robi! Tę książkę zaś traktuje jako monograficzny podręcznik zawodowy, możliwie kompletny, miejscami zresztą nawet ponadkompletny oraz jako zachęcające wprowadzenie nowych adeptów do tej profesji. Żeby zaś wzmocnić oddziaływanie, oprócz modelowego indeksu książki własnej, dodaje doniesienie z sondażu opinii 74 amerykańskich indeksatorów oraz – na końcu książki – rozmaite załączniki, tak nowym jak i rutynowanym indeksatorom praktycznie przydatne.

Można też pozazdrościć autorce swady i narracyjnego talentu: tekst czyta się znakomicie. Jest przy tym na ogół wysoce kompetentny – chociaż nie obywa się bez trywializmów: niestety w zawyżonej ilości.

Badgett przyznaje się do ukończenia studiów INB, lecz w tekście nie nawiązuje bezpośrednio do bibliotekarstwa, ani do bibliografowania, bądź do katalogowania. Odpowiednie relacje występują wprawdzie, ale czysto przedmiotowe.

Proces tworzenia indeksów (podobnie jak katalogów i bibliografii) określa jako wysoce intelektualny i wieloaspektowy. Oprócz bowiem ustalania rejestru terminów oraz lokalizującej *mapy* w tekście – w materiałach digitalnych często nie ma stron numerowanych, toteż indeksy muszą być nieco inne – trzeba dodatkowo przewidzieć oczekiwania czytelników tekstu i odbiorców indeksu. A to są często różne role i odmienne nastawienia. Poza tym nierzadko bywają konieczne uzgodnienia z autorami, którzy są we współpracy trudni oraz kiepsko sprawdzają się w roli indeksatorów tekstów własnych.

Już choćby dlatego automatyzacja procesów indeksacji nie może być bezgraniczna: udział człowieka jest nieodzowny. Charakterystyczne, że podobną opinię w odniesieniu do katalogów przedstawił Piotr Malak³. To zaś akurat jeden z powodów, dla którego indeksy oraz sieciowe wyszukiwarki nie są wobec siebie tożsame.

Komputer mianowicie wyląwia jedynie identyczne terminy i wybrane zbieżne określenia. Nie wnika natomiast w intencje, nie analizuje znaczeń, nie rozróżnia synonimów ani homonimów, a w fazie finalnej często tworzy indeksowe longiery. To nie jest więc prawdziwe i pełne indeksowanie. Za to jest niezastąpiony jako podmiotowe narzędzie pracy i w realizacji kontaktów nie ma alternatywy.

Autorską charakterystykę profesji indeksatorskiej można odnieść częściowo także do bibliografowania lub do katalogerstwa – z tą głównie różnicą, że te dwie specjalności trudno byłoby uprawiać w domu. Natomiast podobnie: to jest zawód słabo przez innych rozpoznawany. Wymaga zaś staranności, uwagi oraz refleksyjności, a także wrodzonej skłonności do porządku oraz do organizowania i kategoryzowania. Guru katalogerstwa, Michael Gorman, powiedziała: no właśnie. Nie od rzeczy jest też chęć czytania. A poza tym trzeba umieć zachować balans pomiędzy postrzeganiem detali, a zdolnością do syntetyzowania. No i przydaje się dobra pamięć.

Zawodowe przygotowanie indeksatorów jest urozmaicone. Wśród przepytanych, 33% to osoby po studiach INB, 19% po edytorstwie, inni zaś reprezentują specjalności bardzo zróżnicowane. W USA są na uczelniach specjalne kursy, ale np. do indeksowania materiałów online nie przygotowuje nikt. Najważniejsza jest więc praktyka i rozumne samokształcenie. Myślę, że dokładnie to samo potwierdzą doświadczeni katalogerzy i bibliografowie.

Odrębność polega na tym, że indeksatorzy to przeważnie wolni strzelcy – w USA: 90% – i z tego coś musi wynikać. Mianowicie trzeba odpowiednio zorganizować sobie pracę, oddzielając profesję od tego, co prywatne (to duża trudność, kiedy pracuje się w domu), oraz pogodzić się z samotnym przeważnie

Asia-Pacific Conference on Library and Information Education and Practice. Innovation in Library and Information Science in the Age of Big Data. Nanjing: Nanjing University, 178, 182, 187 [18.12.2016], <http://www.vub.ac.be/BIBLIO/nieuwenhuysen/presentations/2016-11-03-aliep-nanjing/A-LIEP%202016%20Proceedings.pdf>

³ P. Malak (2012). *Indeksowanie treści. Porównanie skuteczności metod tradycyjnych i automatycznych.* Warszawa: Wydawnictwo SBP, 168.

i anonimowym charakterem wykonawstwa: to jest zajęcie dla introwertyków. Zapewniające wprawdzie względną swobodę i niezależność, ale powiązane z kolei z brakiem zagwarantowanej ciągłości oraz z nieustannym polowaniem na zlecenia. To jest czynnik mocno stresujący – tak samo, jak narzucane i nierzadko dramatycznie zmieniane terminy wykonawstwa. Ale, powiada Badgett: da się żyć.

Używając nieco innej terminologii, niż przyjęta w obszarze INB, podkreśla różnice pomiędzy zamkniętą formułą indeksowania – jednego dokumentu – i otwartą: wielu różnych materiałów. Przy zamkniętej, poniekąd folksonomicznej, można tworzyć słowniki własne, a indeks da się opracować przed publikacją. W formule otwartej, powiedzmy że taksonomicznej, trzeba posługiwać się słownikami już istniejącymi, zaś kreowanie indeksów następuje dopiero po sfinalizowaniu produkcji dokumentów. No i wtedy wydawcy radykalnie skracają terminy.

W praktyce indeksatorskiej nadal dominują drukowane książki, oraz – w mniejszym zakresie – czasopisma, także drukowane. Przedmiotem dumy zawodowej są indeksy do monografii naukowych, mimo że w wykonaniu trudne i wymagające elementarnej wiedzy przedmiotowej. Z kolei w podręcznikach akademickich i szkolnych potrzebna jest zgodność z przesłaniami dydaktyki, co nie obywa się bez kłopotów. Znacznie trudniej indeksuje się zaś hipertekstowe e-booki – brak bowiem użytecznych standardów – oraz bazy danych online. Przy czym indeksy do nich są o wiele użyteczniejsze, niż oferta automatycznych wyszukiwarek. No więc trzeba, żeby były.

Tymczasem takie zlecenia trafiają się indeksatorom rzadko, a w odniesieniu do stron WWW – prawie nigdy. Trudno zgadnąć, czy to przez odbiorcze preferencje dla sieciowych wyszukiwarek, czy po prostu ze względu na brak zleciodawców.

Z podręcznikowej i poradnikowej koncepcji tej książki wynikają różne podpowiedzi praktyczne. Za główną wytyczną zawodowego postępowania Badgett uznaje umiarkowanie, a więc zadowolenie z realizacji zleceń już pozyskanych, oraz dystans wobec ambicjonalnego nastawienia na sukces. Sukcesem jest bowiem już sama możliwość wykonawstwa.

O to zaś trzeba zabiegać stale, podtrzymując jednocześnie kontakty dotychczasowe: taka jest specyfika tej pracy. Zlecenia można przyjmować różne, lecz jednak najlepiej wybrać sobie konkretne obszary przedmiotowe, bo przy takiej specjalizacji łatwiej o zlecenia, a i samo indeksowanie toczy się sprawniej. No właśnie: podobnej dyrektywy do bibliografii oraz do katalogowania, odnieść nie można.

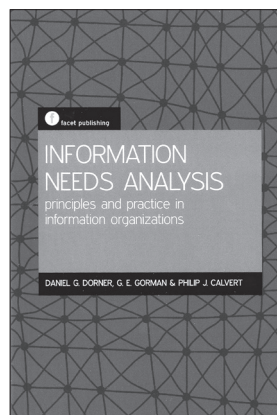
Indywidualny charakter wykonawstwa nie wyklucza współpracy z różnymi partnerami, ewentualnie z podwykonawcami, ale to nie są przypadki częste; natomiast w ogóle jakaś forma kontaktów z innymi indeksatorami, dla wymiany opinii, jest pożądana. A do tych sugestii autorka dorzuca jeszcze rozbudowane wskazówki, jak negocjować racjonalne terminy wykonawstwa oraz możliwie godziwe honoraria – a także wytyczne postępowania autopromocyjnego (marketingowego) i przygotowania osobistych stron WWW w sieci.

Jest poza tym w książce sporo podpowiedzi dla nowych adeptów zawodu, do którego Badgett zachęca, ale z tak detaliczną przesadą, że ta część tekstu razi trywialnością. No i trochę niepokoi opinia, że na dojście do pełnej sprawności indeksacyjnej i zleceńbiorszej potrzeba od 2 do 5 lat praktyki. Ale widocznie tak to jest.

Badanie potrzeb informacyjnych [****]

Daniel G. Dorner; G. E. Gorman; Philip J. Calvert (2015). *Information needs analysis. Principles and practice in information organizations*. London: Facet Publishing, pp. 269. ISBN 978-1-85604-484-4

Niewygórowaną jakością nauk o informacji oraz o bibliotekarstwie, nieomal do granic katastrofy sprowadzają doniesienia o pseudosondażach – wraz



z zerowym autorskim rozeznaniem metodologicznym – które masowo zalewają czasopisma i publikacje zbiorowe z obu zakresów. No pewnie: skoro funkcjonuje u nas aż 20 punktowanych czasopism z tej strefy, oraz drugie tyle imitacyjnych, to ich zawartość czymś trzeba wypełnić. Pojawiają się więc sygnały o rzekomych *badaniach*, gdzie o żadnych technikach badawczych nikt nie ma pojęcia, a sondowane grupy często liczą mniej niż 20 osób. To jest absolutny śmietnik.

Niestety, tak jest nie tylko u nas: to wygląda na śmietnik ogólnobranżowy. Kiedy przeglądam niektóre prezentacje zagraniczne, to zgrzytam zębami. Oto bowiem jakieś osoby próbują robić nam wodę z mózgu i kompromitują te nasze dyscypliny wobec innych specjalistów.

Czasami wdaje się w to wszystko jeszcze i kamuflaż. Oto w gigantycznym doniesieniu z konferencji INB w chińskim Nankinie⁴, referenci z Azji Wschodniej przedstawiali *sondaże* opinii, czasami 15, a niekiedy 9 osób, dokumentując w ten sposób *odkrycia* typu, że koło jest okrągłe. Oszustwo zaś polegało przede wszystkim na wprzęgnięciu w te bzdety całego aparatu przeliczników statystycznych: chi kwadrat, korelacji, wariancji, standardowych odchyień, median itp. Przy dziewięciu respondentach?!

Bezczelność w tym względzie rywalizuje z abnegacją. Porządnych podręczników na temat badawczej metodologii, są wprawdzie setki, a nawet tysiące. Sęk w tym, że należałoby dwa lub trzy przeczytać, ale na to decyduje się mało kto.

Dlatego nie jestem entuzjastą nowych opracowań metodologicznych – wystarczy poczytać to, co już jest – jednak nie twierdzę, że są całkowicie zbędne. Zwłaszcza, jeśli wzbogacają orientację o coś nowego, to warto je zaakceptować. I ostatnio pojawiły się takie: o tyle ciekawe, że nakierowane na analizy obiegu materiałów digitalnych⁵.

Natomiast podręcznik, autorstwa specjalistów z Uniwersytetu w Wellington w Nowej Zelandii, który tu sygnalizuję, już tak dobry nie jest. Rzuca wprawdzie ogólne światło na procedury badawcze, ale bez szczegółów: jedynie z *grubsza*. Za poważny niedostatek uważam zwłaszcza brak odniesienia do konstrukcji zbiorowości badanych, co w praktyce wygląda fatalnie i ta książka tego nie zmienia. Oraz słabością jest również pomylenie metod i technik badawczych, a także całkowite przemilczenie w rejestrze technik – eksperymentu, testu i analizy treści. Poza tym (jak na mój gust) tekst jest niebywale przegadany. Ale może ktoś to lubi.

Autorzy, zapewne świadomi mizerii praktyk rozpoznawczych, zdecydowanie namawiają do prowadzenia rzetelnych sondaży, możliwie systematycznych i metodologicznie poprawnych, zamiast żeby informacyjne nastawienia publiczności szacować według wyrwykowych i pobieżnych obserwacji. Ostrzegają jednak, że nie wolno mylić wyartykułowanych życzeń z rzeczywistym rejestrem potrzeb, które przeważnie są ukryte i niekoniecznie uświadamiane. Ale o sposobach takiego rozróżniania nie ma ani słowa. Jest jeszcze gorzej: w tekście nagminnie ma miejsce mylenie informacyjnego usługodawstwa (zdarzeń zewnętrznych), z (wewnętrzną) istotą odbioru.

Chociaż występuje sugestia, żeby dociekać głębiej i ustalać, co naprawdę wywołuje potrzeby informacyjne – które często bywają nieuświadamiane lub uświadamiane mylnie. Otóż wymaga to analizy szerszych kontekstów towarzyszących procesom informowania. Ale takie objaśnienie jest puste.

W tekście podpowiada się, żeby przedmiotem sondaży byli nie tylko użytkownicy informacji, ale także oferenci i pośrednicy oraz materiały informacyjne kierowane do obiegu. Bardzo to naciągana propozycja i obawiam się, że bezużyteczna. Nie napisano bowiem, jak tego dociekać, a zalecenie żeby

⁴ J. Sun; Q. Zhu, Ch. Khoo; S. Ou, eds. (2016). *A-LIEP 2016. Proceedings of the 7th Asia-Pacific Conference on Library and Information Education and Practice. Innovation in Library and Information Science in the Age of Big Data*. Nanjing: Nanjing University, 178, 182, 187 [18.12.2016], <http://www.vub.ac.be/BIBLIO/nieuwenhuysen/presentations/2016-11-03-aliep-nanjing/A-LIEP%202016%20Proceedings.pdf>.

⁵ S. Hoffman, ed. (2016). *Dynamic research support for academic libraries*. London: Facet Publishing; M. Górska, A. Wandel, red. (2016). *Metody i narzędzia badań piśmiennictwa cyfrowego I jego użytkowników*. Wrocław: Wydaw. Uniwersytetu Wrocławskiego.

analizować środowiskowe normy i wartości, oraz relacje konsumentów informacji z ich otoczeniem, jest tak ogólnikowe, że w praktyce pozbawione treści. Tak więc w konstrukcji badawczych założeń, autorzy nikomu w żadnym stopniu nie pomogą.

Przedstawiona w książce modelowa propozycja postępowania badawczego nie jest przesadnie odkrywczą, ale też do odkrywania pozostaje niewiele. Schemat wygląda tak oto: przygotowanie > zebranie danych > analiza > ocena wyników > raport > wykorzystanie. Trudno mieć do tego zastrzeżenia.

W fazie przygotowań zaleca się staranne przemyślenie celu i formuły badań, oraz dookreślenie potencjalnych zbiorowości (osób) do przebadania, a także wybór metody (w rzeczywistości: techniki) postępowania oraz naszkicowanie przebiegu całego przedsięwzięcia. Natomiast w raporcie autorzy chcą widzieć krótki opis procesu badawczego, jak również charakterystykę rezultatów, sprowadzonych do relacji przyczynowo-skutkowych. To również są sugestie trafne.

Z kolei opis doboru zbiorowości próbnych do badań jest zbyt ogólnikowy. Poza podziałem na dobór losowy oraz celowy, żadnych praktycznych porad nie widać. Nie ma choćby słowa o warunkach reprezentatywności, ani o różnych sposobach losowania, jak też o wariantach (według równych kwot lub statystycznej zależności cech) wyboru celowego. To fatalnie, bo właśnie brak znajomości reguł doboru próby pozbawia sensu większość sondaży.

Sugestia etycznego postępowania w procesie badawczym, jakkolwiek ogólnie słuszna, wypada infantylnie: same frazesy. Natomiast ma sens zalecenie, żeby do oceny przebiegu i efektów badań, zapraszać ekspertów niezależnych, więc spoza grona badaczy. Trafna jest również opinia, że wiarygodność wyników rośnie, jeżeli ktoś inny powtórzy badanie i osiągnie rezultaty zbieżne.

Wśród zalecanych sposobów postępowania jest wskazówka, żeby wykorzystywać już istniejące dane – o zasobach, o użytkownikach oraz o usługach informacyjnych – zwłaszcza zarejestrowane w formie elektronicznej. No dobrze, ale co na to globalne przepisy o tajności danych indywidualnych? W Nowej Zelandii też wszak obowiązują. Brak także szczegółowych wytycznych do takich rozpoznań, mimo że istnieje specjalna technika: analiza dokumentów. Jest tylko ostrzeżenie, że rejestr informacji o udzielonych usługach nie wyczerpuje całego repertuaru transmisji treści informacyjnych.

W książce znalazły się bliższe charakterystyki niektórych innych technik badawczych, jednak wyraźnie dodane do tego, co ewentualny badacz powinien już wiedzieć z innych źródeł. Mam wątpliwości, czy to dobry pomysł. W końcu każdy, kto przystępuje do badań, chciałby mieć porady i wskazówki w jednym materiale, a nie żeby szukać ich w rozproszeniu.

Jako podstawową technikę badań obiegu informacji, nie bez racji, wskazano ankietę. I tak jak napisano: jest tania, łatwa do szerokiego zastosowania oraz nie stresuje respondentów, ponieważ ma przeważnie charakter anonimowy. Jednak nadaje się głównie do analizy postaw i zachowań uświadamianych; jest poza tym trudna do zweryfikowania pod względem wiarygodności, a przy rozsyłaniu, zwrotność bywa mierna. Jest też kłopot z pytaniami, które muszą funkcjonować samodzielnie, bez dodatkowych objaśnień – zamknięte są często dla respondentów zbyt sztywne, mało elastyczne, z kolei zaś odpowiedzi na pytania otwarte kiepsko poddają się grupowaniu i kwantyfikacji. I wprawdzie to o ankietach wiadomo nie od dzisiaj, ale takie przypomnienie ma sens.

Dla poprawy zwrotności i wiarygodności wypowiedzi ankietowych autorzy podpowiadają staranny wstęp wyjaśniający oraz maksymalną klarowność kwestionariusza. Do osiągnięcia w trybie wcześniejszego pilotażu zweryfikacyjnego. Rzeczywiście. A już inna sprawa, że nie znam opisu badań ankietowych, który nie zawierałby takich właśnie wskazówek.

Przy charakterystyce wywiadu – w sumie produktywny – również dostrzegam niedobór sugestii szczegółowych. To potwierdza, że jest adresowana do osób już z tą techniką trochę zaprzyjaźnionych.

Oryginalność autorskich podpowiedzi polega na tym, że zaleca się dobieranie do wypowiedzi już to osób, dobrze w temacie zorientowanych, bądź: realizację wywiadów w grupach 8–12 osób, bo współobecność innych respondentów bywa pożyteczna. Otóż takich sugestii jeszcze nie spotkałem.

Przy czym, jak napisano – grupowa zgodność opinii wcale nie jest konieczna. Natomiast w wywiadzie grupowym badacz musi funkcjonować jako moderator oraz motywator wypowiedzi, jakkolwiek oczywiście bez sugerowania poglądów. Zresztą ogólne zalecenie też jest takie, żeby nie ingerować w reakcje respondentów, a nawet nie uprzedzać wcześniej, jaki ma być temat rozmowy. Przy grupowych wywiadach autorzy doradzają, żeby nie tworzyć więcej niż cztery odrębne grupy, za to każdą z nich dobrać ze względu na jakąś jedną wspólną cechę, inną w każdej z grup, a potem uznać je za badane zmienne przyczynowe. To ma sens.

Wywiad zawsze generuje kłopoty rejestracyjne i tak też je zasygnalizowano. Rejestracja przebiegu foniczna albo filmowa peszy respondentów, pisemna zaś – absorbuje badacza. Co można nieco zredukować, wspierając się pytaniami zamkniętymi, ale w tekście takiej podpowiedzi nie ma. Natomiast podzieliłam wyartykułowane zastrzeżenia wobec wywiadów telefonicznych lub internetowych: bez kontaktów bezpośrednich to jednak nie są rozmowy pełnowartościowe.

Jest też kilka uwag na temat obserwacji, lecz widać wyraźnie brak autorskiego entuzjazmu, choćby w uwadze, że to jest wyjątkowo czasochłonna technika badań. No to co? Tak jest i już.

Przy obserwacji zewnętrznej (a istnieje też uczestnicząca obserwacja wewnętrzna w grupie), zdaniem autorów trzeba, żeby obserwator był co najmniej tolerowany przez obserwowanych. No pewnie: inaczej mogliby go zbić. Za to o zasadach obserwowania nie ma w tekście nic. Jest tylko powtórzona uwaga, że rejestracja pisemna odrywa obserwatora od przebiegu zdarzeń, a znów mechaniczna – deprymuje wszystkich. Tak jest rzeczywiście, jednak są sposoby minimalizowania tych niedogodności, ale nic o tym nie napisano.

Również powierzchowne są wskazówki, jak analizować rezultaty badań. Jest zalecenie zakodowania danych, numerycznego lub wagowego, a następnie – relatywnych (przyczyny-skutki) zestawień wyników, dla weryfikacji zakładanych pierwotnie hipotez. Ma temu służyć garść przeliczników statystycznych, zasygnalizowanych w książce, lecz tylko ponazywanych. Zabrakło objaśnień, jak je obliczać.

Bardziej użyteczne są porady, jak skonstruować finalny raport z badań. Generalnie: pisemny. Ewentualnie z wariantem w blogu, bądź na stronie WWW. Czasami potrzebna jest jeszcze wersja werbalna, lecz wtedy skrócona i uwolniona od detali.

Autorzy nie bez racji zalecają, żeby wariant lub warianty raportu dopasować do adresatów, którzy bywają rozmaici, a ważne żeby ich takie sprawozdanie przekonało. Najpełniejszej wersji wymagają eksperci. Trzeba więc przedstawić im koncepcje, zastosowane techniki badawcze, dodać rejestr przedmiotowego piśmiennictwa, no i oczywiście zreferować wyniki, a także zasugerować możliwości wykorzystania. Sposób prezentacji ma wpływ na odbiór, toteż warto wprowadzić tabele, szkice i wykresy ilustracyjne, jakkolwiek w racjonalnym wymiarze. Zasugerowano, że prezentacja konkluzji ogólnej nie powinna przekraczać 10% całego raportu. Akurat co do tego miałbym wątpliwości: to wysoce arbitralna opinia. A w dopowiedzi pojawiła się jeszcze uwaga, żeby zreferować też stopień reprezentatywności wyników. Słuszna, tyle że w całej książce nie ma o tym najmniejszej wzmianki.

Nie mam wątpliwości, że osoby słabo zorientowane w badawczej metodologii, nie wyniosą z lektury tej książki istotnych korzyści praktycznych: jest od tego zbyt odległa. Szkoda, bo wydawnictwo ma dobrą renomę, więc szansa na szeroki rezonans była, zatem i na poprawę jakości sondażowych praktyk. Tymczasem to jest raczej próba pobudzenia do staranniejszych przemyśleń metodologicznych tych badaczy, albo kandydatów na badaczy, którzy podstawowe pojęcie o badaniach już mają. A czy pożyteczna? To zależy od nastawienia każdego czytającego. Nowozelandzcy autorzy wyszli z założenia, że może tak być.

Co nam z neuronauki kognitywnej [***]

Richard Passingham (2016). *Cognitive neuroscience. A very short introduction*. Oxford: Oxford University Press, pp. 136. ISBN 978-0-19-878622-1

Ograniczone pole poznawcze nauki o informacji oraz obszerniejsze, ale też limitowane, nauki o bibliotekarstwie – a nawet zwiększone, jednak również *ogrodzone*, nauki o komunikacji, narzuca konieczność zwracania się ku innym dyscyplinom ościennym, jeżeli rozwój ma mieć miejsce. W szczególności trzeba posiłkować się ustaleniami psychologii, bo wszystko co przynależy do tych trzech dyscyplin, finalizuje się w procesach recepcji oraz myślenia. Dlatego niekiedy – i tym razem też – sygnalizuję tu publikację również z obszaru psychologii, jeżeli dostrzegam możliwość odniesień.

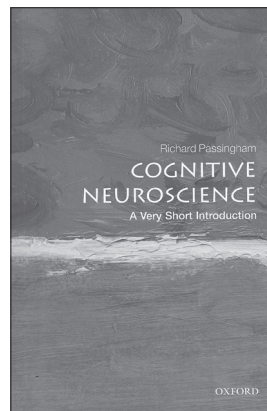
Nie jest to łatwe, nie istnieje bowiem jednolita wiedza psychologiczna. Jej dynamiczny rozwój zmierza w kilku kierunkach, niekoniecznie spójnych, a bywa że sprzecznych. Już dawno temu nurt psychodynamiczny oddzielił się od behawiorystycznego, a potem powstało kolejne ujęcie, mianowicie poznawcze (kognitywistyczne), lecz na tym nie koniec. Od dłuższego czasu istnieje autonomiczna subdyscyplina, nazwana *neuronauką*, która zajmuje się funkcjonowaniem mózgu – dzięki nowym technologiom badawczym: z możliwością obserwowania reakcji neuronalnych na impulsy zewnętrzne oraz wewnętrzne. Przy czym także już w obrębie neuronauki wyodrębnił się nurt kognitywistyczny, traktujący mózg tak, jakby to był komputer, więc mechanistycznie⁶. Ale niezależnie od mnóstwa wątpliwości, można upatrywać w tym nastawieniu nowych, nieznanych dotychczas objaśnień funkcjonowania umysłu, również w trakcie odbioru treści, także informacyjnych. Jak dalece zaś rzeczywiście tak jest, to już inna sprawa.

Właśnie dlatego sygnalizuję tu książkę Richarda Passinghama – to emerytowany profesor psychologii z Uniwersytetu Oksfordzkiego – który zreferował stan wiedzy, dostępnej za sprawą kognitywnej neuronauki. Oczywiście również jest mechanistycznie nastawiony do zjawisk mentalnych, bo to taki nurt, ale bez skrajności, jakie zdarzało mi się już nieraz spotykać. Tak czy inaczej, więcej tu opinii dyskusyjnych, niż bezwarunkowo akceptowalnych, ale możliwych odniesień do procesów komunikowania oraz informowania, da się tu dokonać sporo.

Natomiast ta – mimo wszystko: skrajność – sądów nie całkiem przystaje do znakomitej, zazwyczaj umiarkowanej nastawionej – serii przeglądowej, w ramach której to omówienie wydano. No i określenie *very short* mija się z prawdą: rzeczywiste rozmiary tej publikacji, obficie ilustrowanej, są znaczne.

Autor narzeka na skutki długotrwałego obciążenia psychologii nawisem behawiorystycznym, który forsował wnioskowanie o procesach psychicznych w oparciu o zewnętrzne obserwowanie reakcji na bodźce. Lecz na dobrą sprawę, neuronauka kognitywna, chociaż istnieje od pół wieku, także nie postępuje inaczej, chociaż więcej *widzi*. Polega wszak na obserwowaniu obiegu krwi w mózgu, aktywowanego pod wpływem pobudzeń neuronalnych – i to właśnie można teraz zobaczyć – ale to nie jest nasz spór. Ważniejsze, że jednak nie widać wszystkiego i wobec tego jeszcze nam daleko do wielu fundamentalnych ustaleń.

W kolejnej negacji Passingham nie jest odosobniony. Ma otóż miejsce zakwestionowanie kartezyjskiego oddzielenia myślenia (ducha) od umysłu (ciała), bo to w aktualnym ujęciu ma być taki sam proces organiczny, jak każdy inny. Szczerze mówiąc, trochę robi się nieswojo na myśl, że rozumowanie jest fizjologicznie podobne do trawienia, lub do oddawania moczu – ale oczywiście taka wątpliwość nie jest naukowa.



⁶ J. Cacioppo (2016). Social neuroscience. In: R.J. Sternberg, S.T. Fiske, D.J. Foss (eds.) *Scientists making a difference. One Hundred Eminent Behavioral and Brain Scientists Talk about their Most Important Contributions*. New York: Cambridge University Press, 46.

Ważniejsze, że przy takim ujęciu procesów umysłowych nie ma objaśnienia, w jaki sposób tworzy się i uzupełnia świadomość – dla procesów informacyjnych przecież fundamentalna. Że już nie zapytam o generowanie refleksji nowych.

Świadomość jest rezultatem przesyłanych impulsów, ale przetworzonych, powiązana często z relacją bezpośrednią: woda to nie jakieś H₂O, lecz to, co się pije⁷. Wymaga zatem interpretacji odbieranych sygnałów, a komputery (maszyny) nie interpretują⁸. Tak więc neuronaukowy model kognitywistyczny umysłu, traktujący mózg tak jak komputer, nie wystarczy do pełnych objaśnień procesów komunikowania, a zwłaszcza nie potrafi scharakteryzować ich finalizacji, czyli: wzbogacania świadomości. Na takie rozpoznanie trzeba jeszcze poczekać i to niedobrze dla wiedzy o komunikowaniu, o informowaniu, oraz siłą rzeczy: o bibliotekarstwie.

Passingham potwierdza, że neuronauka koncentruje się na obserwacji przebiegu procesów w mózgu i ustala, gdzie następuje oraz przebiega aktywizacja. Określa więc miejsca: obszary reakcji na różne rodzaje bodźców. Każdy taki obszar jest wyspecjalizowany, stosownie do podłączonych sensorów, ma zadania własne, istnieje więc swego rodzaju mapa takich ośrodków, które następnie łączą się z innymi, tworząc razem ujęcia (składniki myślenia) scalone. Tego jednak już nie *widać*.

No i to akurat jest dla nas ważne. Zdaniem autora – a wie, co mówi – neuronaukowe charakterystyki procesów mentalnych nie wkraczają w obszary przyczyn ani następstw, dlatego właśnie nie odnoszą się do świadomości. Otóż tego nam brakuje, ponieważ sfera komunikowania oraz informacji ma charakter świadomościowy.

W książce ma jedynie miejsce nawiązanie, zresztą fragmentaryczne, do podświadomości. Muszę tylko jeszcze dopowiedzieć, że z innych analiz psychologicznych wygenerowała się opinia, że zachowaniami rządzą (inicjują, motywują, intensyfikują) emocje⁹. Otóż Passingham potwierdza, że nieraz przed reakcją decyzyjną (dotyczącą zachowania), widać w mózgu przedprocesową aktywizację, którą określa jako nieświadomą, albo przedświadomą. A to może stanowić dowód, że na przykład dla przyjęcia treści, także informacyjnych, ważne jest poprzedzające nastawienie uczuciowe (właśnie więc aktywizujące): już to na niespodziankę, lub na znaczny pożytek odkrywczy, bądź na potwierdzenie oczekiwań, indywidualnie ważnych. Można z tego wysnuć praktyczne dyrektywy postępowania informacyjnego.

Inny obszar autorskich doniesień, o którym trzeba tu wspomnieć, dotyczy wielosensoryczności, zatem i multisenoryczności, przyjmowanych sygnałów. W komunikacji oraz w informowaniu to jest zagadnienie sposobu transmisji treści: jednorodnego jak przez pismo, bądź wielojęzykowego jak przez hipertekst. A także następstw i rezultatów, czyli przetworzenia tego, co zostało pierwotnie przyjęte do pamięci roboczej, a następnie zachowania części w pamięci trwałej. To nie przebiega automatycznie¹⁰ i jest zależne od sposobu transmisji właśnie, a dokładniej: od rodzaju przejmowanych sygnałów, bo niektóre mogą oddziaływać rozpraszająco. Tymczasem odbiorowi sprzyja natężenie uwagi i skupienie się na przyjmowanych treściach – zresztą nie na wszystkich, ale na wybranych, ze względu na ograniczoną pojemność i krótkotrwałość pamięci roboczej. Potem, z zespolenia tych wybranych treści, już w pamięci trwałej, powstaje przetworzona wiedza indywidualna¹¹.

⁷ J. Zimmermann (2015). *Hermeneutics. A very short introduction*. Oxford: Oxford University Press, 12.

⁸ L. Floridi (2014). *The 4th revolution. How the infosphere is shaping human reality*. Oxford: Oxford University Press, 135; J. Zimmermann (2015). *Hermeneutics. A very short introduction*. Oxford: Oxford University Press, 19, 136.

⁹ A. Damaso (2016). Feelings and decisions. In: R.J. Sternberg, S.T. Fiske, D.J. Foss (eds.) *Scientists making a difference. One Hundred Eminent Behavioral and Brain Scientists Talk about their Most Important Contributions*. New York: Cambridge University Press, 12.

¹⁰ A. Baddeley (2016). Working memory. In: R.J. Sternberg, S.T. Fiske, D.J. Foss (eds.) *Scientists making a difference. One Hundred Eminent Behavioral and Brain Scientists Talk about their Most Important Contributions*. New York: Cambridge University Press, 120.

¹¹ J. Zimmermann (2015). *Hermeneutics. A very short introduction*. Oxford: Oxford University Press, 129.

Dla charakterystyki procesu informowania i jego newralgicznych składników to są objaśnienia ważne. Tymczasem Passingham zgłasza istotną wątpliwość: twierdzi mianowicie, że nie ma dowodów na pojemnościowe oraz czasowe ograniczenia pamięci roboczej, a zatem pośrednio – na wybór treści do trwałego zapamiętania. Z drugiej strony nie twierdzi, że zapamiętuje się absolutnie wszystko i sam pisze o skupieniu, rozproszeniu oraz o skuteczności zapamiętywania. Jak to pogodzić? Powstaje w ten sposób niepotrzebny mętlik.

Prawie całe piśmiennictwo psychologiczne jest zgodne co do tego, że w pamięci roboczej daje się pomieścić niewiele sygnałów naraz i to na czas krótki – dlatego jest też nazywana krótkotrwałą albo nietrwałą. Już tu więc ma miejsce selekcja. Potem następuje zaś kolejny wybór treści, do zapamiętania dłuższego: w pamięci trwałej. Otóż charakter tych wyborów pozostaje w związku z rodzajem przyjętych sygnałów.

Konkretnie od tego, jak dalece umożliwiają skupienie się na przejmowanych treściach, co ułatwia językowa jednorodność sygnałów, np. werbalnych albo pisemnych. Multisemiotyczność, wielojęzyczność – co Passingham potwierdza – wydłuża czas odbioru (zatem pamięć robocza przyjmuje mniej treści), tak jak i nieprzewidywalność lub nieklarowność tych treści, ponieważ w transmisji różnych sygnałów są jednak, częściowo, zaangażowane te same neurony. Tym bardziej zaś dekoncentrują działania uboczne, impulsy rozproszone i niejednorodne. Dlatego rezultaty odbioru przekazów hipertekstowych, w porównaniu do pisemnych, są inne¹². Poza tym skupienie się na jakimś segmencie treści, inspirowane skojarzenia zbieżne, a więc łączy z treściami, które zostały już wcześniej zinternalizowane. Przy rozproszeniu uwagi tak nie jest. Otóż wszystko to trzeba odnieść do odbioru informacji – już to, wobec tego, ograniczonego, lub pogłębionego.

Dostrzegam też jeszcze inny obszar refleksji, sprowokowanych przez ten tekst wprost lub pośrednio, dla informowania i komunikowania moim zdaniem ważny. Mianowicie od dawna wiadomo, że dla różnych reakcji na komunikacyjne sygnały istnieją w mózgu odrębne ośrodki *sterujące*. Passingham sygnalizuje ośrodek mówienia Broca i rozumienia mowy Wernickego, potwierdzając ich autonomię w ten sposób, że przy odbiorze sygnałów z ekranu, w tych akurat ośrodkach żadnych reakcji nie ma.

Podobna specjalizacja ma miejsce w komunikacji piśmienniczej. Ośrodek Exnera steruje pisaniem, zaś ośrodek Dejerine'a czytaniem – jakkolwiek o nich i w ogóle o piśmiennictwie nie ma w tej książce ani słowa. Szkoda, ale trudno. Otóż ta odrębność reagowania na sygnały, niezależnie od późniejszej syntetyzacji przyjętych różnymi sposobami treści, nakazuje ostrożność i wstrzeźliwość w orzekaniu o zlewaniu się różnych form komunikacji, o wypieraniu jednych przez drugie, albo też o ich uniwersalności, czyli o wszechstosowaniu. Tymczasem dostrzegam powszechną nieostrożność.

Z punktu widzenia aktualnej wiedzy o tym, jak pracuje umysł, takie ewentualne scalenie komunikacyjnych form nie znajduje żadnego uzasadnienia. Odrębność jest faktem, więc i współistnienie też musi być faktem.

Osobna grupa ważnych wątpliwości dotyczy w tej książce poglądu na temat ewolucji bądź zmienności mentalnych reakcji na sygnały komunikacyjne, oraz dostosowania umysłu do nowych form komunikowania. Opinie znawców są bowiem w ogóle rozbieżne.

Nie tak dawno temu, w dwóch światowych bestsellerach eseistycznych, lansowano pogląd, że nowe technologie komunikacyjne podporządkowują sobie umysły, wywołując w mózgach nieodwracalne zmiany fizjologiczne¹³. Tyle tylko, że obaj autorzy nie spotkali się z psychologią nawet w tramwaju, a wypowiedzi oparli na zasłyszanych sądach obiegowych, bądź na własnych wyobrażeniach.

Ale Passingham jest uznanym ekspertem, a jednak też opowiada się za przypuszczeniem, że to otoczenie – także komunikacyjne – wpływało i wpływa na ukształtowanie i funkcjonowanie umysłu.

¹² J. Nielsen (2010). *iPad and Kindle reading speeds* [online]. NN/g Nielsen Norman Group [18.12.2016], *iPad and Kindle reading speeds*.

¹³ N. Carr (2010). *The shallows. What the Internet is doing to our brain*. New York: W. W. Norton & Company, 31, 34, 44, 50; D. Tapscott (2010). *Cyfrowa dorosłość. Jak pokolenie sieci zmienia nasz świat*. Warszawa: Wydawnictwa Akademickie i Profesjonalne, 77, 176.

I to nie tylko w trybie ewolucyjnego przystosowania, ale wręcz przez wygenerowanie w mózgu odpowiednich struktur neuronalnych i funkcji fizjologicznych.

Z tego punktu widzenia, neguje ideę gramatyki generatywnej Noama Chomskiego, który uważał, że neuronalne struktury w mózgu, zaangażowane w porozumiewanie się ludzi, nie są nabyte, ale wrodzone z natury¹⁴. Jednak ani Passingham, ani cała neuronauka, nie dysponują żadnymi argumentami, że tak jest lub nie jest. Nie ma bowiem świadectw z przeszłości, ewentualnie określających dawniejszy kształt oraz formy przeobrażania się mózgu. Możliwa adaptacyjna elastyczność nie oznacza wszak rekonfiguracji całego mózgu od nowa. Więc dopiero przyszłe obserwacje neuronaukowe będą mogły ustalić, jak to rzeczywiście jest, lecz na to potrzeba dziesięcioleci.

Tymczasem, tak jak Chomsky, wielu znanych psychologów twierdzi, że to jednak wrodzone predyspozycje umysłu stały i stoją u podstaw tworzenia się różnych form komunikacji. Czyli, że zanim te formy powstały – i może dlatego powstały oraz powstają właśnie takie – neuronalne predyspozycje już były. Wybitny znawca psychologicznych aspektów komunikowania, Stanislas Dehaene, sformułował jednoznaczna opinię na temat genealogii komunikacji pisemnej. Mianowicie, że to pismo dostosowało się do neurofizjologii mózgu, a nie odwrotnie¹⁵. Podobnie sądził Janusz Dunin sugerując, że pismo zostało odkryte, a nie wynalezione¹⁶.

Co zaś miałyby z tego wynikać? Ano to, że formy komunikowania, więc również informowania, mogą zmieniać się i wzbogacać oraz rozwijać, ale w ogólnych granicach, wyznaczonych przez podstawowe i w *rdzeniu* niezmiennie struktury ludzkiego umysłu. Co wykluczałoby eliminację jednych komunikacyjnych form podstawowych przez drugie, a nawet redukowałoby ich identyczne zastosowanie do tego samego celu – skoro mają w umyśle inną neuronalną matrycę konfiguracyjną.

Eliminacja byłaby prawdopodobna tylko w wypadku przebudowy fizjologii umysłu, a niczego takiego nie zaobserwowano. Przeciwnie: w powiązanej strukturze DNA nie ma śladu zmian w okresie natężonych przeobrażeń komunikacyjnych¹⁷. Dlatego trzeba z ogromnym dystansem przyjmować łatwowierne a bezdowodowe deklaracje o nadchodzących repulsa-cjach form komunikacji, oraz o dominacji określonych wariantów informowania. O czym, kiedy, w jakim wymiarze, dla jakich celów i jak głęboko? Bez dobrze uzasadnionej argumentacji, lepiej nie dawać temu wiary. Bo zamiast nauki, rozprzestrzenia się ble ble.

Poza tym zaś raz jeszcze odniosę się do zjawiska świadomości, z którym nie tylko neuronauka radzi sobie marnie, bo to jest abstrakt, a nie *wytwór* neurofizjologiczny. Jednak przecież istnieje i co najważniejsze: wieńczy procesy komunikacyjne, w tym oczywiście również informacyjne. Oraz *jakieś* powiązania w neurofizjologią myślenia niewątpliwi ma.

Świadczy o tym choćby odrębność, w ogólnej pamięci trwałej, przechowywania przetworzonych sygnałów z rzeczywistości realnej, w pamięci epizodycznej, a sygnałów treściowych (komunikacyjnych) w pamięci semantycznej. Późniejsze scalenia nie mają nic do rzeczy. To jest (umownie) taka różnica, jak pomiędzy indywidualną wiedzą, a indywidualnymi umiejętnościami.

Nie byłoby takiego rozróżnienia bez strukturalnych różnic w pamięci, a zatem i w świadomości. Ale wiarygodnych objaśnień (na razie?) nie ma. Dlatego wiedza o komunikowaniu oraz o informowaniu jest wciąż daleka od kompletności.

Nadesłano: 18 grudnia 2016.

¹⁴ N. Chomsky (1982). *Zagadnienia teorii składni*. Wrocław: Ossolineum, 14–15, 33–34.

¹⁵ S. Dehaene (2009). *Reading In the brain*. New York: Penguin/Viking, 3.

¹⁶ J. Dunin (1998). *Pismo zmienia świat*. Warszawa, Łódź: Wydaw. Nauk. PWN, 18.

¹⁷ L. Floridi (2014). *The 4th revolution. How the infosphere is reshaping human reality*. Oxford: Oxford University Press, 95.